

041265



Organ młodzieży Gimnazjum Państw.
w Oszmianie.

Wrzesień—Październik

1935 r.

Cena 35 gr.

T R E Ś Ć: ●

- 1) Koleżanki i Koledzy.
- 2) Ze zniw w Oszmiańszczyźnie.
- 3) Najdroższe wspomnienie.
- 4) Zdała od ludzi.
- 5) Redakcja w komplecie.
- 6) Postanowienie . . .
- 7) Okruchy jesieni.
- 8) Miasto namiotów harcerskich.
- 9) O Zachodzie.
- 10) Fragment.
- 11) Trzy klucze (improwizacja).
- 12) Fragment.
- 13) Szum deszczu.
- 14) Jesień.
- 15) Sprostowanie
- 16) Giełda zbożowa - towarowa
w Oszmianie.

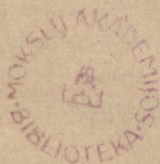
G Ł O S
OSZMIANŃSKI

DWUMIESIĘCZNIK
LITERACKO-SPOŁECZNY

Organ młodzieży Gimnazjum Państw.
w Oszmianie.

Wrzesień—Październik

1935 r.



1749

151059

Koleżanki i Koledzy

Rozpoczął się rok szkolny, a wraz z nim rozpoczynamy dalsze wydawnictwo naszego pisemka. Nie wiem jeszcze, jak praca nam pójdzie, czy zabraknie energii, czy utrzymamy się przez długie dziesięć miesięcy, lecz wiem napewno, że przy wspólnych, gorących chęciach moglibyśmy dużo zrobić. Odeszli koledzy starsi — ubyło nam trochę sił, lecz przybyli młodzi, pełni entuzjazmu, pełni radości, nowych wrażeń, roześmiani do życia. Niech ci nam pomogą, niech ci oddadzą nam swoje siły!

Pisemko to niech będzie naszym wspólnym pamiętnikiem. Tak jak do pamiętnika wpisujemy swoje przeżycia, wrażenia swoje, projekty — tak postaramy się tutaj podzielić swemi uwagami i spostrzeżeniami ze wszystkimi. Chcemy przecież wiedzieć, co komu się podoba, co kogo interesuje, jakie mamy przeżycia, czego nam brak z czego jesteśmy najbardziej zadowoleni. Myśli swoje możecie wyrażać w dowolnej formie. — A więc artykuły, feljetony, krótkie nowele, wiersze i t. d.

Niechaj „Głos Oszmiański“ stanie się jakby łańcuchem, który będzie spajał ściśle osiem klas ze sobą, z Gronem Nauczycielskiem i ze społeczeństwem pozaszkolnym. Niechaj kartki jego służą do wymiany myśli i ideałów wszystkich tych, którzy powinni rozumieć, że:

„Prawdziwym obywatelem w Polsce dzisiejszej jest ten, kto na tym posterunku, jaki obowiązek, czy zamiłowanie ka-
zało mu zająć, potrafi siebie samego oddać w służbę sprawie.“

Vice - redaktorka

*Dar. p. P. Budrejska
Wilno
20 V - 39.*

Ze żniw w Oszmiańszczyźnie

Był pogodny, sierpniowy dzień. Niebo było pokryte przejrzystymi, welnistymi — falistymi chmurkami. Słońce przedzierając się przez tę delikatną powłokę, rzucało mdławą światło na świat. Dłatego pola i horyzont były pokryte, niby mgłą, ledwo dostrzegalną. Od czasu do czasu przewiewał lekko wiatr i poruszał łany dojrzałego zboża, które jakby z pokłonem, szemrząc, chyliło ku ziemi — ziarnem brzemienne kłosa. Skroś jak okiem sięgnąć, po dolinach i wzgórkach, ruchliwie uwijał się roboczy lud, Mężczyźni i kobiety, chłopcy i dziewczęta, a nawet tu i ówdzie dzieci, mniejsze i większe — bez różnicy. Mężczyźni z kosami w ręku, miarowo i przysadziście pociągali kosą, a za każdym machnięciem padały brzenna zboża, które kobiety wiązały w snopy, a młodzież nosiła je i zestawiała w mendle. Ja też nosiłem snopy. Zewsząd dochodził gwar i śmiech, śpiewy i przyspiewki.

Na twarzach, pomimo znoju i gorąca, jaśniała radość i uśmiech — biła z nich czerstwość i zdrowie. Każda gospodyni i każdy gospodarz często zwracali oczy ku niebu, dziękując Stwórcy za urodzaj, pogodę, prosząc Boga o zdrowie i opiekę nadal. Wciąż, bez spoczynku prawie, uwijały się ciężką pracą zgrubiałe ręce, pochylały się zużyte ciała i czoła potem sperlone.

Z chwilą, gdy słońce stanęło u zenitu, a cień ludzki nie przekraczał kroku, to jest koło godziny dwunastej, popłynęła dzwonnice i melodyjnie pieśń, z której dało się wyłowić następujące słowa:

„Pałudniczki zahudzieli, pałudnawać zachacieli.
Choć hudzicia nia hudzicia, pałudnawać nia budzicia.
Nasza pani maładaja, jana nam spahadaja.
Jana nam spahadaja, pałudziań pryhataulaja.
Bułku chleba arżanoha, boczku piwa maładoha.
Bieły syr na talerku, jajecznicu u randelku.
O! daj Boża pahodaczku, na naszaju rabotaczku.
My rabotku rabić budzim, a pahodku chwalić budzim.
Kab pahodka kaczała sia, a rabotka spiaszała sia.
Zwiarni Boża chmaronaczku u czużuju staronaczku.
Tam hdzie ludzi bahatyja, piakuć chlaby chałłatyja.
U nas ludzi biednyja, piakuć chlaby mizernyja.“

Płynęła długo i rozlewnie, zasnuwając czoła skupieniem i powagą, — osiadała po łanach zbóż, ścerniskach, krzakach i gajach, rosła, wzmacniała się, echem potężniała, aż wreszcie słowami prośby umilkła gdzieś. . . — na nieboskłonie.

Dawno skończyła melodja i przebrzmiały słowa, mówiące o południu, gospodyni, pogodzie, Bogu i jego dobroci, o miłości ludu do Boga,

o doli wieśniaczej — szczerze i prawdziwe słowa. A ja wciąż stałem ze snopem podniesionym w rękę, — zastanawiając się w myśli nad szczerością i prostotą słów piosenki, nad melodją i jej powstaniem. Któż ułożył słowa i melodje, liryzmem przesiąknięte, zgłoskami doli wieśniaczej pisaną? . . Stworzył ją lud - ten norwidowski „największy artysta“, a wygładził ją czas — zarysowała się w mej duszy odpowiedź.

Gdy przerwałem bieg myśli i podniosłem wzrok — zobaczyłem gromadę zniwiarzy i innych pracowników, siadających w krąg do posiłku, do którego i mnie zaczęto wołać, przypinając mi rozmaite łatki na temat mojego zamyślenia się — roztargnienia.

Podczas jedzenia dówcipkowano i domawiano wzajemnie sobie w rozmaity sposób,

Po obiedzie i chwilowym odpoczynku, znów wzięto się do pracy. Praca stała się intensywniejsza, bowiem to był ostatni kawał żyta, więc postanowiono ją zżąć. Przeto rozmowy, śmiechy i śpiewy prawie umyły; praca stała się wprost zdwojona. Nad wieczór, kiedy słońce było już tak nisko, że jak lud się wyraża: „baba kaczarhoj małab dastać“, pracownice okręzały ostatnie staję i wtedy to wytryśła z młodych piersi kobiecych nowa pieśń, ale jakże inna od poprzedniej. Buchnęła skoczna melodja:

„U nas siahodnia dażynaczki, pryniasi pan harełaczki.

Pryniasi pan harełaczki, da spouninkaj baryłaczki.

My harełku pici budzim, swajho pana chwalić budzim.

A hdziej taja harełaczka, a u kamory pod ławaczkaj.

A u kamory pod ławaczkaj, da zaroższy murawaczkaj.

My harełku papjom, papjom, a baryłku pabiom, pabiom.

A u nas siahodnia wajna była, żniei pola zwajawali.

Zniei pola zwajawali, panu sławy dakazali.

Da zialon nasz bor zialon, nad usimi barami.

Da chwalon nasz pan chwalon, nad usimi panami.

Jak pan paniu abymaja, tak takoja żyta maja.

Abymaj pan paniu czaściej, budzia raści żyta huściej.

Gdy pieśń miała się ku końcowi, z ostatniej garści żyta i kwiatów polnych uwito wieniec, który wzięły do rąk dwie dorodne najemnice i ruszyły przodem w stronę domu, a za nimi cały orszak żeńców z tą samą pieśnią na ustach, w podskokach i podrygach.

W domu wziął do rąk wieniec gospodarz i zawiesił go między obrazami na ścianie. Potem nastąpił poczęstunek, gdzie naturalnie nie obeszło się bez „harełaczki“, tylko że ona nie była z „pouninkaj baryłaczki“, ale z zwykłego litra, o etykietce „Wódka czysta“ mocy 45°

Gdy pracownice podpily, wtedy dopiero wesolość doszła do zenitu. Spiewom i przyspiewkom nie było końca.

Oto jedna z charakterystyczniejszych przyspiewek, którą jedna

przysadkowata kumoszka, wyszedłszy na środek domu i wzięwszy się za falbany swojej sarafianstej spodnicy — śpiewała:

„Upiłasiasz ja, ni za waszaja.

Maja kuraczka zniaslasia,

Ja za toja upiłasia.“

Byłem w ogrodzie i przysłuchiwałem się słowom pieśni i wesołości uczestników.

Nie brałem udziału w tej tradycyjnej, radosnej uroczystości. Zastłuchany w słowach pieśni i w szmerach letniego wieczoru starałem się uchwycić kształt myśli i obrazów, jakie przesuwaly się w mej wyobraźni. W późną noc najemnice zaczęły się żegnać, dziękując gospodyni i gospodarzowi za poczęstunek, życząc doczekania drugiego roku, w zdrowiu i pomysłności spożywania obfitych plonów.

Na odchodnem znów wzbila się na tle cichej, gwiaździstej nocy i rozplynęła się dożynkowa pieśń:

„U nas siahodnia dażynaczki, pryniasi Pan barelaczki.“

Zastanowiło mię słowo „pan.“ w tym dwuwierszu. Pieśń tę stworzyła zapewne kilkasetletnia przeszłość, najprawdopodobniej okres pańszczyźniany. Wtedy słowo „pan“ nie było utylitarnem — odnosiło się ono do wielce uprzywilejewanej warstwy ziemiańskiej i magnackiej.

Dawniej ta pieśń była śpiewana zapewne po dworach i dworakach, przez wyrobnice chłopskie, które w mozolnym trudzie, często gęsto pod razami bata ekonomów — odrabiała pańszczyznę. Wyraz „pan“ odnosił się wtedy wyłącznie do pana — właściciela, ziemianina — magnata. Pytaniem jest jeszcze, czy ta tradycyjna pieśń była wtedy śpiewana z taką radością, jak dzisiaj? . . . O! stokrotnie nie.

Przeto ciesz się dzisiaj wolny i niezależny polski rolniku, że tę pieśń śpiewasz sam dla siebie. A bat pańszczyźnianej przeszłości, głosem potomności przeklęty, pogrzebał się w gruzach starego porządku — nie martwychwstanie — bo na straży stoi dobro wszystkich. A wyraz „pan“ dziś jest tytułem każdego obywatela.

— Dniało już — świergotem ozwało się ptactwo — potem wzeszło słońce i znowu pogodny pracowity dzień!

Upłynęło parę tygodni. Siedziałem pod brzozą z tomikiem poezji Perzyńskiego i zastanawiałem się nad słowami poety, który mówi o poecie, co łzami pisał pieśni, póki nie wypłakał całej duszy — usnął ze łzą ostatnią . . . kiedy mych uszu doszła pieśń, w okresie owsianych żniw śpiewana:

„Oj kacili sia, dy dwa jabłyeczki — przy dorożca stali.

Lubili mianie dwa małowczyki, ciapier pirastali.

Oj kacili sia dy dwa jabłyeczki — obudwa sadawija.

Lubili mianie dwa małowczyki — abudwa maładyja.

widokowi, gdy nagły, przeraźliwy, urwany świst lokomotywy odrywa nas od okien, popychając ku walizom i rozmaitym tobołkom. Zaczyna się gorączkowe pakowanie.

Stop! Z lekkim szarpnięciem maszyna staje. Wychodzimy, a raczej wyskakujemy na platformę, ustawiamy się parami i pod przewodnictwem oczekujących już na nas przewodników, kierujemy się w stronę schroniska na wypoczynek. Ale kto teraz marzy o odpoczynku, gdy wszystkich uczucia kierują się tam, — w stronę Wawelu, dziś stokroć tam jeszcze droższego niż przedtem

* * *

Msza skończyła się, zbliżamy się do krypty św. Leonarda
Stąпам po schodach, jak mogę najciszej, z duszą przepełnioną strasznym niezmiernym smutkiem Jedno mgnienie oka i wzrok zatrzymuje się na srebrnej, lecz prostej, bez ozdób, trumnie, wreszcie przez szkło -- na twarzy. I — sama nie umiem sobie wytłumaczyć, co się ze mną stało — straciłam samopoczucie Pamiętam tylko, że łzy jak gdyby szklane posypały się z oczu, a ręce same splotły się jak do modlitwy.

* * *

Twarz pogodna, choć pooranna zmarszczkami, z których największe przerzynały wszerek proste, wzniosłe czoło, świadczą, że niemało przesunęło się myśli wzniosłych w tej najdroższej nam głowie. Liczne srebrne nitki przecinające krzaczaste brwi i wspaniałe niegdyś wasy. Żył, cierpiał i pracował wiele, ojczyźnie niosąc w darze wszystko, co zdobył. Dziś wszyscy jeszcze pamiętamy, kim był dla nas Marszałek, nie zapomnijmy jednak, że z jego śmiercią i na nasze barki spadł ciężar wielkiej i świętej powinności, niech więc wspomnienia o Nim będą nam bodźcem do małych czy wielkich, lecz pożytecznych dla ojczyzny czynów!

* * *

Tego, samego dnia, kiedyśmy przybyli na Sowiniec siedem km od Zamku, wszyscy, pchnięci jakby niewidzialną jakąś siłą rzucili się do stojących opodal taczek

I — kopiec rośnie

Pamięć czynów Bohatera pogłębia się w duszy narodu.

Staszka S. (kl. VIII).

ZDAŁA OD LUDZI

Siedzę przed masztem, a przed sobą mam morze, zupełnie błękitne, duże morze, na którego falach słońce rozesało całą nieskończoność świetlnych pereł. Między niebem ażurowem, a głębszego koloru jeziorem niema różnicy, wszystko gdzieś na horyzoncie zlewa się w całość. Kopuła nieba zaczyna się nad moją głową i niknie w oddali za falami, które wzniosły się ku niej, tworząc jakby okrycie wokół niewidzialnej nieskończoności. Położyłam się w środku traw i patrzyłam w niebo, zatracając się w jego pięknie. Pole, na którym znajdowałam się, porośnięte było krzakami jałowca. Słuchałam świergotu jaskółek i rybitw, które uwijały się dokoła mnie, spadały w dół i ginęły w gąszczu krzaków. Ton jeziora falowała łagodnie, szmer fali podobny był raczej do cichego westchnienia niż do odgłosu — słońce zdawało się, że drga i zalewa strumieniami światła wszystko. Zapach fal jeziora, pobliskiego lasu i roślin dochodził do mnie, szum wody zdawał się milknąć niekiedy i konał na brzegu zdobnym w girlandy pian jeziora.

Zbiegłam nad brzeg jeziora po przez teren żwirowy, który przeskakiwałam pewną nogą, wzniosłam zuchwale do góry głowę i wdychałam dumnie świeży powiew, który osuszał moje zwilżone włosy. Duch Boży nappełnił mię, czułam, że serce moje się poszerza i rośnie, wielbiłam coś w dziwnym odruchu mej istoty i pragnęłam zatracić się w potokach światła słonecznego i zginąć w nieskończoności lazuru niebios razem z wonią unoszącą się z powierzchni fal. Ogarnęła mnie całkowicie jakaś radość bez sensu, poczem zaczęłam iść przed siebie z uczuciem jakimś, jakby całe szczęście zstąpiło w moją duszę. Brzeg jeziora wznosił się w tem miejscu pod górę, więc całe wybrzeże znikło mi z przed oczu tak, że nie widziałam nic prócz ogromnego przestworu wód. I wtedy pojęłam całkowite szczęście całego stworzenia, oraz całą radość, jaką Bóg wlał w nie dla człowieka. Natura objawiła mi się piękna, jak skończona, doskonała harmonja, którą zrozumieć może jedynie ekstaza. Coś równie tkliwego jak miłość i czystego jak modlitwa przeniosło się ku mnie z głębi horyzontu, zeszło ku mnie z wysokości niebios.

Z szumu jeziora, ze światła dziennego utworzyło się coś rozkosznego, co przyswoiłam sobie, coś z czego czułam się szczęśliwa i wielka jak orzeł, który patrzy w słońce i wznosi się na jego promieniach

I wezbrała w mem sercu jakaś nieokreślona tęsknota. Dusza ma uleciała na białych skrzydłach tęsknoty hen! — daleko do drogich mi osób. Wyciągnęłam ramiona ku niewidzialnemu, przeciwnemu brze-

gowi, jakby tam był ktoś — ktoś bardzo drogi, ktoś bardzo kochany, jakby stamtąd oczekując przyjscia jego. Wołałam go do siebie — tak pragnęłam, by choć małą chwilkę był przy mnie i mógł razem ze mną cieszyć się pięknem przyrody.

I nagle opadły mi ręce. Przypomniałam sobie, że żyłam, opamiętałam się i ruszyłam przed siebie, czując, że przekleństwo obejmuje znów władzę nademną, że wracam napowrót do ludzkości. Życie wstąpiło we mnie przez poczucie cierpienia i podobnie jak czułam niepojęte szczęście, tak teraz popadłam w niewypowiedzianą apatię.

J. W. (kl. VIII)

Redakcja w komplecie.

Więc na kogoż jeszcze czekamy, panie redaktorze? Vice-redaktorka jak zawsze się spóźnia. Już mija kwadrans akademicki, a jej jeszcze niema — widocznie lubi przychodzić ostatnia — objaśnia redaktor.

„Nieee drrręcz, przed naaami życia jeszcze tylee“ sły-chać mocno melodyjny głos za drzwiami, wreszcie puk . . . puk . . . — Dzieńdobry — przepraszam prześwietną redakcję, że się troszeczkę spóźniłam, ale . . . ale . . . ale naprawdę wcześniej — no nie mogłam — tłumaczy się nowoprzybyła. Hm! hm, więc dobrze, więc znakiem tego jesteśmy w komplecie, więc możemy zaczynać Sala dość duża (jeszcze większy komitet redakcyjny), zastawiona stołkami i stołeczkami. Przy jednym z małych stołków siedzi osoba poważna, wyróżniająca się od pozostałych zarówno powierzchownością jak też i zachowaniem się. To opiekun „Głosu“, pasterz rozwydrzonej trzody. Siedzi — oczy czarne — jak dwa sztylety zdają się przenikać każdego do głębi. Teraz jednak nikogo nie „przebijają“; — nic też dziwnego, przecież to nie lekcja. Wzrok jego utkwiony gdzieś w dół nieskończoną zamyślony duma, ale o czym? trudno odgadnąć — należy jebnak przypuszczać, że o „Głosie“ i jego komitecie redakcyjnym. A cóż to za komitet?

Wszystkich oczy zwrócone są w stronę, gdzie siedzi główny redaktor. Jakiś senny, melancholijny, powolny. Zamiast rozkazywać (bo przecież może teraz rozkazywać ale i nie chce z tego korzystać jakby bojąc się czegoś, nie wiem sama czego, wszak nie jesteśmy straszni) pytającym wzrokiem wodzi po twarzach swych podwładnych pracowników, jakby się pytał: „no i co — czytać? Może wiersze, może prozę? A może nic nie czytać?“ Nagle widocznie zamajaczyła mu przed

niebieskimi oczami czerwona marchewka i nawpół ceglasto - zielony ogórek. — Mich co to? gdzie jestem, czy na zebraniu czy, też w ogródku gimnazjalnym? -- zwraca się do obok siedzącego towarzysza.

Kolega Mich zapewne też myślał o marchewkach, bo podskakuje z krzeselka, jakby przyłapany na gorącym uczynku przy grządkach. Mimowoli oczy zwracają się na referentkę od poezji; i cóż? Siedzi przy największym stole, na którym są porozrzucane karteluski różnego rozmiaru — grzebie się rękami okrywa, niby skrzydłami wiersze, szybko obraca głowę naokoło szyi -- szuka czegoś . . . Czy pani wszystko przeczytała? — pyta redaktor. Tak tak, wszystko — już nie mam więcej — a — a, nie nie — jest, ja muszę to jeszcze przeczytać, koniecznie muszę, krzyczy referentka od wierszy, choć w sali panuje tylko cichy hałas. Pomocnik od wierszy czuje unoszącą się woń kadzidła, a fale „eteru napływają przez okno i choć na dworze złoci się jesień, on słyszy jak białe fiolety bżów sepleną gdzieś w dali“

Tymczasem referentki wolnego powietrza są mocno zajęte opowiadaniem ostatnich wrażeń. Od czasu do czasu słychać wśród ciszy półgłosem wymówione wyrazy — Zygmunt — wojsko — bal — Mix — Alex od czasu do czasu zwracają się do vicedredaktorki z oznajmieniem, że Alex wyjechał, a Bodo przyjedzie i . . . wreszcie zapytane o krytykę jakiegoś artykułu przeczytanego, usmiechają się zgodnie: „nic sobie, podoba nam się — tylko — ale — nic sobie, może pójsć“. Zadowolone, że już swoje zdanie wypowiedziały wracają znów do Zygmuntów, Mixów i Alexów. Przy końcu dużego stoła siedzi grupka nowicjuszek z „kokardami“ w głowach, na szyjach i plecach. W „skromniutenkie“, bo to zebranie redakcyjne! Siedzą—rozglądają się ostrożnie, przysłuchują się wierszom, nowelom i artykułom z wyrazem jakiejś wyższości i dumy. Od czasu do czasu pojawia się jakby pod dotknięciem czarodziejskiej różdżki wicśniany uśmiech na ich twarzyczkach — to oznaka, że artykuł podobał się w „tem miejscu“. Naraz robi im się duszno — odpinają płaszcze; to natłok myśli przygniata je swym ciężarem. No jak się panom podoba ten wierszyk?

Jak pani, panno L, myśli?

Ja tak myślę, panie redaktorze.

A pani?

A ja też mam takie same myśli.

Ja zupełnie nie myślę.

I ja też.

Ja o prozie nie mogę myśleć, poezja to mój żywioł. I znów cisza, bo wypowiedziały swoje zdania. W sali zaczyna się naprawdę robić duszno. To wszystko nastraja do marzeń i śnień vice - redaktorę. Jakże daleka jest ona myślą od całej redakcji. Popada w stan głębokiej

zadumy — myśli — czyżby — potem uśmiecha się do swojej przeszłości, czy przyszłości. . .

Ten uśmiech zaczyna denerwować o silnych nerwach pomocnika od wierszy.

Ach, panie profesorze, ta vice-redaktorka wciąż się śmieje i śmieje. . .

Rzeczywiście — przytakuje pan profesor.

Vice-redaktorka obraża się na chwilkę, ale tylko na chwilkę, bo znów się uśmiecha i ze swoją gromadką zaczyna wspominać chwile minione. . . przychodzą im na myśl manewry, konie — armaty. . .

W samym kącie siedzi jeszcze przystojny młodzian Longinus (tylko nie Sienkiewiczowski). Jakże mu ciężko! Cóż z tego, że musi on tu parę godzin przesiedzieć, kiedy dusza jego hen! — na boisku sportowem trenuje w skokach, biegu i rzucaniu dyskiem. . . Stara się skupić, szczypie siebie za język, by prędzej przyjść do przytomności, a zapytany o zdanie swoje, powtarza bezmyślnie: „nic sobie, podoba mi się, tylko — jabym — nic sobie“, Jesienne słońce posyła ostatnie promyki do sali redakcyjnej. Uśmiecha się choć blade, ale figlarnie, jakby mówiąc: „nic sobie, jabym tylko — nic sobie; redakcja mi się podoba, nic sobie — jabym tylko“. . .

Julitta. (kl. VIII)

POSTANOWIENIE

Wakacje mijają Smutek ogarnia mą duszę na myśl, że będę musiała opuścić dom rodzinny, pożegnać ojca i matkę, lipę stojącą koło domu . . . - opuścić to wszystko, co poznałam i ukochałam w ciągu dni wakacyjnych - zapamięć o chwilach wolnych od nauki i trosk życia szkolnego. Tydzień przed wyjazdem chodziłam blada, zmęczona. Wrzała we mnie walka, bunt, niechęć do nauki. Zbliża się dzień wyjazdu.

Zła na siebie i wszystkich udałam się do altanki „moich przeżyć duchowych“, położonej w cieniu rozłożystych brzoź, na skraju lasu, nad jeziorem. W tem cichem ustroniu chciałam spędzić ostatnie chwile, stąd pożegnać drzewa rosnące w lesie, podziękować ptakom za ich śliczne, codzienne wieczorne koncerty. Dzień był ciepły Lekki powiew wiatru poruszał szklaną powierzchnią wód, a niebo odzwierciedlało swe stropy lazuruwe w toni połyskującej od złotych promieni słońca. Cisza panowała dokoła, tylko od czasu do czasu listeczki drzew potrząsane przez wiaterek, zdawały się szumieć pieśń pożegnalną, a zło-

te snopy zboża pochylone w mą stronę wpatrywały się w me oczy pełne bólu. One jedynie rozumiały mnie Słońce poczęło przegrzewać silniej, rosa przestała srebrzyć się na kwiatach, które zda się błagalną modlitwą wzniosły swe główki ku słońcu, lecz po jakimś czasie — chyliły je znowu ku ziemi — jakgdyby daremne były ich błagania . . . Szklana toni wód stała nieporuszona, tylko czasami ryba złocistem skrzelem musnęła, albo woddali wynurzył się śliczny karp. Wreszcie słońce poczęło się chylić ku zachodowi. Lekki ożywczy wiatr poruszył gałązkami drzew. Słońce zakrwawionym wzrokiem raz ostatni spojrzalo^o na ziemię i znikło gdzieś za górami . . . Zapanaowała cisza wieczorna. Mrok zwolna zstępował na ziemię, aż wreszcie noc ciepła i tajemnicza — rozpostarła swe czarne skrzydła nad światem i mocą swoją uspiła całą przyrodę . . . Niewymowny spokój — powiększał urok i majestat nocy. I oto wśród takiej ciszy ptaszę zanuciło pieśń, siedząc na gałązce obok gniazdka. Popłynęła pieśń swobody, pieśń, w której czuć było: szczęście, . . . miłość i życie, Ta pieśń radości niewymownej, uroku i czaru;— oderwała mą myśl zękaną od ziemi i uniosła hen w lazury, aż do tronu Stwórcy. Dusza ma drgnęła . . . Dlaczego jestem tak smutna? Ta mała ptaszyna, na którą czyha na każdym kroku niebezpieczeństwo, która ma także swe codzienne troski, nie upada na duchu, nie zwiesza głowy bezradnie, lecz ze wszystkich swych sił śpiewa rodosną pieśń życia. Dlaczego ja nie rozumiem treści tej wielkiej pieśni? — Bo brak mi wiary, jestem słaba i tchórzliwa. Jesteśmy młodzi . . . przed nami życie się śmieje i głosem potężnym wzywa ku sobie, . . nad nami błękit nieba, miliony gwiazd i wszechmocna dłoń Stwórcy, . . . wokoło nas gaje, lasy, łąki usłane kobiercami kwiatów,

Podnoszę głowę i o dziwo! Widzę przed sobą inną krainę. — Smutek, który często jasne dni życia w noc przemienia druzgoce szczęście, odbiera nadzieję — zniknął. — Przedemną roztacza się świat cudny, uroczy, zdała wyciągający ramiona i głosem twardym spizowym wołający: Powstań! Otrząśnij ze siebie zło, które nagromadziło się w twojej duszy! Ruszaj w świat i badaj piękno i brzydotę dusz ludzkich! . . Z oczu spadła mi jakoby zasłona. Do tej chwili ze strachem i niechęcią myślałam o szkole, teraz zaś uniesiona jakąś nadzwyczajną radością, omal że nie krzyknęłam: Co za szczęście! Czas wypoczynku minął, zbliża się czas trudu — jutro rozpoczyna się rok szkolny, rok pracy pięknej i zaszczytnej. Tak! małe ptaszę rozbudziło we mnie chęć życia i pracy.

Spojrzałam więc na świat okiem co szuka piękna i mocy; odnalazłam w sobie człowieka i życie okazało mi się w całej swej treści.

OKRUCHY JESIENI.

Przeszła radość i pełnia letniego życia. Umilkły pienia życiem tętniącej natury. Ucichły gwary i poszepty w najcichszych zakamarkach leśnych, w najbardziej uroczych ustroniach, które jeszcze niedawno — wczoraj, kaskadą dźwięków — brawurą najróżnorodniejszych melodyj — bezlikiem czaru i zaklęć miłosnych, tryskały szczęściem, jędrnością i powabem życia.

Tak rozmyślając o świeżej przeszłości, szedłem wąską ścieżyną, wijącą się przez opustoszałe zarośla. Za chwilę znalazłem się w lesie. Było tu cicho i spokojnie. Podszycie lasu gęsto usłały żółkle i zeschłe liście, które chrzęszczały pod moimi stopami. Cisza i jednostajność zamykała się sama w sobie. Nieuchwytnie szelestem opadała szata drzewna, wyrównywając „szurpatą“ powierzchnię. Taki stan — zamierający bezruch natury spotęgował moją zadumę. Szedłem tak wciąż przed siebie, zatopiony w sobie — sam w myślotwórczej samotności. Lecz naraz o dziwo!

Gdzieś. . . z gąszczów leśnych wypłynęła dźwięczna, jeno smutna melodia, wychodząca z gardziołka, śpiewaka-romantyka — epigona przeszłości, który zasłuchany w rozsypanych dźwiękach, zapomniał o wszystkim, co się koło niego działo, nie spostrzegł, jak minął ten czas tęczy i promienny. A oto teraz, wyrwany z tego zapomnienia, spłoszony posuwistym wzrokiem wędrowca — urwał. . . swą płomienną pieśń — gwałtownym wzlotem wzbił się w przestworza — zakołował parę razy nad siedliskiem swych marzeń — zatrzepotał silnie skrzydłami, jakby na pożegnanie w smutku pozostającym lasom i gajom, i popłynął przed siebie w dal — do innych przeznaczeń — w zapomnienie. Utkwiłem wprost łzą zamglony wzrok w niknącym śpiewaku, a gdy ten rozplynał się na horyzoncie — spojrzałem na las. A on jakby głębokim westchnieniem rozszumiał się. . . i niby skargą się zakołysał stary, odwieczny las.

Z za chmur rosochatych kształtów wysunęło się słońce i jakby z pewnym wahaniem zatrzymało się na nieboskłonie. Czerwone — zachodzące słońce. Jego złoto-różowe blaski, tęczą zachodu rozlały się po okolicy i opromieniły zgrzybiały las, mieniący się grą różnorodnych kolorów; ten wiekopomny las, co szumiał prastarą pieśń i niby łzy ronił liście

Po gałęziach drzew igrał północo-wschodni wiatr, raz poraż zdmuchując żółkle, chropawe liście, które nastrzępionym kobiercem pokrywały ziemię.

A potem podmuchem swawoli zakręciwszy niemi, unosił je da-

leko i rzucał samotnie, jak słowa ludzkie na poniewierkę

Pomimo tego blasku, jaki na chwilę rzuciło słońce, wokół pannał smutek i melancholja.

Prawie pustka i głuchosc odzywały się zewsząd.

Jakaś ponura ospałość uwydatniała się nietylko w naturze, ale także w usposobieniu ludzkim. Tylko wiatr hulał sobie dowoli, pędził wiatę, bezsilne liście, znęcał się nad konarami krzewow i drzew, to znów czasem krakania gromadnych wron rozdzierały powietrze i zaraz, niby głosem rozpaczy ginęły w jakiejś grobowej ciszy — w monotonji dnia

Ołowiane, deszczem nabrzmiałe chmury, jednostajnie odpływały w dal. Cały przestwór niebieski zażawioną źrenicą matowego oka spoglądał na osowiałą ziemię. Z nad łąk poczęły naciągać mgły i tumany i osiadać martwością. W ich powodzi czerniały oślizgłe szkielety drzew — niby w mgielek aureoli jeżyły się wierzchołki stogów. Ludzie tu i owdzie wyglądali sennie i ociężale, jakby po przebytej tylko co chorobie hypnotyzmu. Stawało się coraz bardziej szaro i ponuro. Ciche, leniwe porykiwunia bydła, wracającego z pastwiska, wróżyły rychły, jesienny wieczór.

Gdzieś z poza gęstwy tumanow, z wieży mgłą spowitej rozlały się głosy kościelnej sygnaturki.

Płynęły smutno-żałosne dźwięki i osiadały po łąkach, opustoszałych gajach — w zwiątpiałych sercach.

Płynęły . . . rozplýwały się . . . i wkrótce milkły.

Zapadł mrok — — — konał jesienny dzień.

Czarna otchłań nocy wszechwładnie zapanowała nad okolicą.

— Nastawiłem kołnierz i poszedłem dalej, wymijając liczne kałuże błota.

Przed północą stanąłem na miejscu.

Czekano na mnie — nie brakowało nikogo.

J. H.

Miasto namiotów harcerskich

Jubileuszowy Zlot Harcerstwa Polskiego w Spale miał na celu przedstawienie dorobku 25-letniej pracy organizacji. Była to wielka chwila dla serc harcerskich.

W dniu 11-go lipca i przez kilka dni następnych na szczególną uwagę zasługiwał dworzec kolejowy, gdzie co chwila pociągi przywoziły coraz to nową brać harcerską. Szybko zapełniały się nią gościnne

lasy spańskie, w których obozowe piosenki potęgowały się rozległym echem. Na dużym dworcu, formalnie zapełnionym harcerzami z różnych dzielnic Polski i zagranicy, trudno było odnaleźć swoich i przejść z jednego miejsca na drugie. O wzrastającym ruchu i ilości uczestników dowiadujemy się z informacji dh. komendanta dworca, który życzliwie dla wszystkich usposobiony podaje nam cały szereg liczb przybywających pociągów. Na zapytanie — jak się obsługuje dworzec, dowiadujemy się, że całym ruchem kieruje Naczelnik Wydziału z Dyrekcji Kolejowej. Ruch pociągów coraz to wzmaga się, jedna lokomotywa manewrowa przetacza je bardzo szybko i sprawnie.

Spokojnie dotychczas szumiący las spański ożywił się. Niezmaconą harmonję drzew przerwał stuk siekier, turkot powozów, zgrzyt pił i głosy tysiąca ludzi. Las zapełniony tłumem osobników w zielonych mundurach. Jednak te niezliczone masy, zapełniając go miasteczkiem namiotów, żadnej szkody przyrodzie nie przyniosły.

Z różnych stron dolatuje do naszego ucha tradycyjne pozdrowienie „Czuwaj“. Rozumieją go też skauci zagraniczni, ale nie umiając tego wymówić pozdrawiają swoich druhów z Polski po swojemu:

Be prepared
Sois prêt
Bud priparen
Toujours prêt
Senatate

Spotkanego skauta z zagranicy nie puszcza się bez wpisania do albumiku, gdzie oprócz nazwiska gość kreśli:

Jo munkät.
Ole valmis
Budi spreman
Esi mords
Waakt
Vaer redo
Vaer beredt
Seit bereit lub Gut Pfad.

Polski harcerz nie ogranicza się do zwykłego „Czuwaj“ z ust jego wyrывa się każdemu znane „Change“, dotykając własnej czapki i pokazując kapelusz gościa. Bez wahania się obu stron następuje wymiana czapki na kapelusz. Po paru chwilach rozmowy nieudolnie zlepionych wyrazów polsko - niemiecko - francusko angielskich z trudnością zagranicznik zrozumie, że się go prosi o adres. Szybko więc wyciąga pióro i notes, na którym pisze:

Žsienboky Devsö
Budapest
Osłoms n 3/sz.

albo:

Loga Ghenghe
Str. Petocile 25
Brasn
România

Wszelkie działy organizacji Zlotu obsługują sami harcerze. Bezpieczeństwem całego zlotu kieruje jeden z harcmistrzów. Według informacji jednego z przełożonych druhów na polu bezpieczeństwa pracuje około 300 starszych harcerzy na całym obszarze zlotu.

W głównym Komisarjacie dowiadujemy się dokładnie.

Komisarjat dzieli się na 5 wydziałów: — straż bezpieczeństwa, wodna, pożarna, biuro informacyjne i biuro rzeczy zaginionych. W tym ostatnim znajdują się przeważnie odnalezione namioty, rowery, zegarki, portmonetki, torebki i inne niezliczone drobiazgi.

Straż wodna wyznacza czas i miejsce na kąpieliska, kieruje ruchem kajakowym i czuwa nad bezpieczeństwem kąpiących się. Straż pożarna ma powierzone swej pieczy bezpieczeństwo od ognia. Utrzymuje ją jedenasta drużyna z Kalisza z zawodu pożarnicza.

Zbliżają się godziny obiadowe. We wszystkich drużynach buchnęły wesole ogniska. Kuchnie polowe stoją na najwyższym szczeblu techniki. Obiad, jak zawsze wyśmienity, odbywa się z wzorową punktualnością. Parę minut spóźnienia grozi kucharzowi następnym dniem koszerne, nieotrzymaniem przepustki, a od swoich druhów dostaniem porządnego koca.

Największe pole do popisu, jak wiadomo, mają kucharze. Następuje więc w ich umiejętności wyścig o smak, jakość, i ilość zgotowanych potraw.

Codziennie pada okrzyk: — „My chcemy budyniu“!

Nawet czasami krzyczą za pierogami, jednak to nie przeraża zaradnych na wszystko kucharzy, którzy potrafią złagodzić grymasy nie bylejakich żarłoków. Obiad rozpoczynał się zawsze od krótkiej modlitwy. Po jedzeniu następowała półgodzinna cisza poobiednia, której nie można było zakłócać najmniejszym szeptem.

Po dobrej obserwacji całego zlotu można było zauważyć sprawność danych chorągwi w poszczególnych dziedzinach.

Kraków wzorowo urządził dział rzemieślniczy.

Łódź szczyli się służbą sanitarną.

Wilno chlubi się artystyczną pomysłowością,

Poznań — strażą wodną.

Lublin — łącznością.

Warszawa posiada nadzwyczajną umiejętność w zarządzaniu aprowizacją, której godło — serce przebite łyżką — jest symbolem ich mozolnej pracy. Drużyny żeńskie również pod każdym względem sta-

rały się dorównać druhom. Na uwagę zasługują klomby rzedz namiotami, które wyrosły jak grzyby po deszczu z dobranymi gatunkami mchów i gdyby nie stanął na przeszkodzie krótki pobyt, to niezawodnie ujrzelibyśmy jeszcze marchewkę i rzodkiewkę. Wnętrze namiotów zadziwia wykwintnością umeblowania, na co nie mogli się zdobyć druhowie. Na pierwszym planie uderza nas ład i porządek. Każda drużyna zaopatrzyła się w dywanik, serwetkę lub makatkę. Łóżka odznaczają się estetycznym wyglądem, wykazując spryt i dbałość właścicieli. Ze względu na higienę, każda drużyna przykrywa się dwoma kocami, co sprzeciwia się mniemaniu jakoby harcerka nie bała się zimna.

Życie wre. Zewsząd wionie wesołość i zapach; nikt nie spodziewa się rychłego zakończenia Złotu. — A jednak zbliża się 25-ty lipca, ostatni dzień pobytu na zlocie, przychodzi chwila rozstania się z zżytem miejscem i druhami. Na złowrogi rozkaz zwijania obozu każdy szykuje się do drogi.

Ze wszystkich niemal stron słychać rozpaczliwe głosy, że coś zginęło, — jednemu pończocha, drugiemu czapka, trzeciemu — plecak lub troki, a nawet są tacy, którzy nie wiedzą o miejscu pobytu własnych... mundurków.

Przy pakowaniu tornistrów widzi się następujące sceny: Z pod pryczy sterczą bieluchne pięty i słychać ochrypy głos: — „Nareszcie mam cię niecnoto“ — poczem spostrzegamy właściciela wyciągającego z piachu krajkę, która przeczuwając gniew swego pana — tam się schroniła. W innym namiocie spostrzeże się dwóch zawodowych bokserzy, którzy walczą o prawo własności; bójka taka kończy się zwykłe zadawalniającym obie strony kompromisem. Zebrane rzeczy należy zapakować. Wiele „manatków“ rozpacza nad rozłogą z właścicielem, czy to gdzieś za namiotem, czy w krzewach lub też na brzegu Pilicy. Przed spakowaniem do plecaka następuje z powodu ciężkiego położenia gospodarczego i powszechnego kryzysu wszędzie znana nam — redukcja. Torebkę od przyborów do mycia pochłonęła Pilica, więc ją zastąpi skarpetka. Pasta od butów wędruje do pudełka z proszkiem od zębów — oszczędność miejsca. Wszystkie szczotki od pantofli, ubrania i zębów maszerują do pozostałej pończochy. Najmniej kłopotu jest z bielezną. Kostjumek gimnastyczny plażuje się na wybrzeżu rzeki, a kąpielowy suszy się nad Pilicą.

Nagle pada rozkaz oboźnego — plecaki wóóz!

Zbiórka na ścieżce do hali! Wszyscy szybko podążają na miejsce zbiórki i po paru minutach cała brać rusza, uginając się pod ciężarem spakowanego plecaka, do hali. Każdy po raz ostatni rzuca pożegnalne spojrzenie we wszystkich kierunkach lasu, gdyż niebawem pociąg rusza do Warszawy.

151059



Niema chyba harcerza, któremu ten Złot braci z całego niemal świata, nie zapisał się niezatarte i jasno w sercu. Widać to było na wszystkich twarzach odjeżdżających, gdy opuszczali to miejsce wspólnego ogniska. Rozpaliło się ono w duszy każdego i na zawsze, połączyło wszystkich w jeden nierozzerwalny łańcuch. Złot harcerzy pokazał jak wielkie zrozumienie znalazła ideologia tej organizacji we wszystkich krajach. Kieruje się ona czystymi zasadami czci i miłości względem Boga i ojczyzny, na jakich powinien opierać się każdy harcerz.

Bonifacy Rutkiewicz.

O ZACHODZIE

*A gdy się słońko kryje za góry,
Na ziemię schodzi cichy mrok.
Grą różnych światel mieniają się chmury,
Tęczą zachodu zachwyca się wzrok.*

*I wtedy z niebios srebrna rosa
Spada na kwiatów mdławę kielichy
Linnem je rzeźwi — a z nich szept cichy
Podziękowania płynie w niebiosy.*

*Szept dziękczynienia, szept radości,
Że powróciły znów do życia,
Bo uszak niedługi czas ich bycia.
Ich chwilą szczęścia czas młodości.*

B. Pertychówna

Fragment.

Duszą samotny, myślą daleki,
Rzucam pielgrzymi wzrok lżą zamglony.
Mierząc trud życia — długi, jak wieki
Idę przed siebie — nierozżalony.

Idę wytrwale — los mną pomiata.
I wicher złorzeczeń jaźnią mą targa.
Niosąc współczucie i wzrok pół świata
Z Duchem Wyzwolin — płynę, jak skarga.

Zamysł mej myśli idzie bez echa;
Zła i obłądy szerzy się czerni.

Dźwignienie nędzy — jedyna pociecha
— W nowy, ostrzejszy porasta cień.

Duszy zbolalej pieśń -- smutnogłosa!
Nie wstanie ruszyć serc — twardych, jak skał.
Bezśladnie ginie, jak w piaskach rosa
— W otworzelisku zbrukanych ciał.

— — — — —
Z morza ohydy i steku kłamstw
Wypłynię jednak Wyzwolin Duch.
I stoczy walkę ze ściekiem chamstw —
Złu kres położy — rozbije w puch.

Dziś? . . . żal duszę ściska, błysk wzrok zapala —
Po licu spłynie ukradkiem łza
Potem nadzieja: Wielkość Myśli Prawdę wyzwala
A Wielkość Prawdy -- zwycięstwem trwa.

Józef Hryniewicz.

TRZY KLUCZE (improwizacja)

Szarym szronem sen się sunie,
Ciemno, ciemno, czarno, cicho.
Morze miast i mogił krzyże. . .
Bał, kabaret, ból i bieda. . .
. . . i trzy klucze . . .
Klucze szczęścia . . . klucze życia . . .
Skraść je ziemi, niebu, Bogu
Uszczęśliwić świat i ludzi! . . .
. . . Idzie cicha, niewidzialna,
Ręka ślizga się po murze
Skrytki Wielkiej Tajemnicy . . .
. . . Coś jęknęło — ciemno — cicho —
. . . Coś błysnęło gdzieś w przestworzu —
— ciemno, ciemno, czarno, cicho . . .
Szarym szronem sen się sunie . . .
. . . Morze miast i mogił krzyże . . .
Bał, kabaret, ból i bieda . . .
. . . i trzy klucze . . .
. . . Idzie cicho lisim krokiem . . .
W duszy wizja i przecucie . . .
Blżej . . . bliżej . . . jaśniej . . . ciszej . . .
W sercu żądza . . . w sercu burza —

Żądza cierpień — poświęcenia —
 I bunt cichy na dnie, w głębi . . .
 Ma już! Ma! Już trzyma w ręku!
 Szczęście, życie i zbawienie . . .
 Szczęście świata, życie duszy —
 I zbawienie wszystkich ludzi! . . .
 Szatan szumem czarnych skrzydeł
 cicho - szepce - pokuszenie . . .
 . . . „Żyj dla siebie . . .
 . . . Myśl o sobie . . .
 — Szczęście wszystkich —
 . . . Cóż ci z tego . . .
 Ból — złudzenie . . . Bóg — złudzenie . . .
 Niebo, świętość — to marzenie . . . głupie
 — głupie — nieziszczalne“ . . .
 — I zawahała się . . .
 — I osłabła uczuć splotem . . .
 Grom uderzył skarb z łoskotem
 Wypadł z jej niegodnych rąk . . .
 . . . Ciemno — ciemno, czarno, cicho . . .
 Szarym szronem sen się sunie,
 Morze miast i mogił krzyże . . .
 Bal, kabaret, ból i bieda . . .
 . . . i trzy klucze . . .
 niezdobyte . . .

N. Dobrzyńska

Fragment.

. . . I przyszedł już czas Wyzwolenia,
 Wielki czas słońca i pogody
 I Duch Najczystszy dał natchnienie
 I wskazał jutrznię mnie Swobody . . .
 O nie ustraszy mnie trud życia,
 Bo widzę dzisiaj cel swój jasno,
 I że jest dobry wiem niezbitcie,
 Miłość i Prawda moje hasło!

Wielki i święty Duch Pokoju,
 Nieogarniony w swem istnieniu
 Zawładnął teraz duszą moją
 Nadzieję czynu dał marzeniu.

N. D.



Szum deszczu.

Deszcz dzwoni o szyby donośnie,
 Coś jęczy, szemrze żałośnie.
 W serce się smutek wkrada
 Deszcz pada. . . pada. . . pada. . . .

Przy ulewy głośnym wtórze.
 Tęskne melodje płyną gdzieś w górze;
 Jak grają pięknie i nikną w szumie. . .
 Melodji deszczu nikt nie zrozumie.

HANIA M. (bl. II)

J e s i e ń.

Znikły już nam z oczu czarujące barwy, któremi charakteryzuje się lato. Leśni śpiewacy ze zwiśłemi główkami odlecieli, by głosem swoim zaszczyć kraje południowe. Cała przyroda stoi smutna, a lasy zamiast nucić cudne piosenki, jakoś gwałtownie ze sobą rozmawiają. Drezwa liściaste są gotowe wydać wojnę jesieni, a świerki i jodły też szykują się do walki, — chcą nieść pomoc swemu rodzeństwu. A jednak porywczosć przyrody na nic się nie zdaje, gdyż sama bez wodza walczyć nie może, a jej królowa składa rządy w ręce nadchodzącej pory roku.

Konary drzew zwisają i spodełba patrzają na zbijającą się jesień. Nawet w naszych sercach budzi się wyraz współczucia. Patrząc na żółte barwy liści i puste, szare pola, chcielibyśmy wyrzec: Smutno nam! A jednak nie zawsze i nie wszyscy chcą się upajać pięknem przyrody podczas lata. Rolnik kocha nadewszystko jesień, bo ona napępnia jego stodołę i spichrz plonami roli. Z tego więc wynika, że jesień przychodzi i rozłącza nas z przyrodą, że jesień jest tą, która sieje niezgodę. Przyroda płacze, a oblicze człowieka promienieje radością.

Letnie piosnki drzew zamieniają się na żłosne, siejące smutkiem jęki.

„Zła wiedźma obrywa nasze liście, a ludzie zabierają nam owoce — obdzieraia nas z najpiękniejszych szat. Nie jesteśmy już chatynami śpiewaków ani też piękmem, w które oczy ludzkie przez lato tak się wpatrywały“. Płacz drzew przechodził w coraz gwałtowniejsze wżaski, gdy nagle jakieś grube głosy się ozwały, a tonem swym wskazywały na to, że trzeba zaprzestać płaczu. Były to dęby: „Trudno, musimy trochę pocierpieć, złe czasy ustąpią dobrym i będzie lepiej.“

Głowy słuchaczyw podniosły się, radość zawładnęła obliczami społeczeństwa leśnego. Ale za chwilę znowuż zapanował smutek na obliczach konarów. Jakieś głosy, przepełnione goryczą z bijącym sercem powtarzały wciąż gwałtownie smutne słowa. Były to wyrazy listeczeków, które chciały się z kimś podzielić tem, co rozgoryczało ich życie, co było cierniem, raniącym ich ciało. „Prawda. My możemy ufać Stwórcy, że przyjdzie ten czas, w którym słońce roześmieje się, a my staniemy się czemś takim, w co ludzie wpatrzeni, rozradują się mnóstwem miłych wrażeń, ale . . . ale teraz przecież musimy . . . musimy . . . złożyć ho . . . łd . . . tej naszej nie. . . przy . . . jaciółce.“ Te słowa okropnie uderzyły przyrodę, więc jęki jej zaczęły się coraz bardziej rozprzestrzeniać. „Ach! Ach! Ja nie . . . szczęśliwa, honor mój ma mi pozwolić na złożenie komuś hołdu? O nie dolo!“ Uspakajające głosy dębów starały się przegadać wszystkie inne, więc stały się coraz donośniejsze. Chciały zaimponować wszystkim. „Nie trzeba się tem przejmować. Teraz oddamy się rządowi wroga, musimy złożyć broń, bo nieprzyjaciel jest o wiele mocniejszy. Przez okres rządów jesieni, nie będziemy grali pięknych ról, odpoczniemy, wzmocnimy swoje siły, zaczekamy na czas, w którym wszystko i wszyscy będą nam hołdować.“ (Tak rozprawiają drzewa opolityce własnej. Naturalnie cichutko, by plany ich nie zostały zdradzone.) Znowuż przyroda rozwesela się. Wiatr stara się ukołysać do snu obdartą, lecz czekającą dobrej przyszłości przyrodę, która z uśmiechem na ustach i z obliczem, zwracającym się w stronę wiosennego zmartwychwstania, powoli i cichuteńko zasypia.

Regina G. kl. II.

S p r o s t o w a n i e

Ponieważ w wywiadzie udzielonym reporterce „Głosu Oszmiańskiego“ i wydrukowanym w jego 3-4 N-ize na stronie 38 i 39, Naczelnik Więzienia w Oszmianie p. Jerzy Portych stwierdził, że: „Więźniami opiekuje się niby Patronat Pań, które jednak nigdy

ich nie odwiedzają. Jednym słowem Patronat nie czynny“ Zarząd Oddziału Związku Pracy Obywatelskiej Kobiet w Oszmianie zmuszony jest w imię prawdy wiadomość tę sprostować.

Jakkolwiek prawdą jest, że członkinie referatu: „Patronat nad Więźniami“ przy Z. P. O. K. w Oszmianie nie odwiedzają więźniów, to jednak postępują tak nie dlatego, że „Patronat jest nieczynny“, lecz, że prowadzą pracę w innej formie przynoszącej więźniom nie-mniejszą korzyść.

Że Patronat faktycznie jest czynny, stwierdza to przedewszystkiem i sam p. Naczelnik w piśmie swem z dn. 8. I. 1935r. L. dz. 66.

A czyż poniżej zamieszczony rejestr prac Referatu, nie rzuca prawdziwego światła na tę sprawę:

1. Dn. 11. XI. 1934 r. staranieta Referatu ogłoszono okolicnościowa pogadankę z przezroczami.

2. Od dnia 1. X. 1934 r. do dn. ogłoszenia omawianego wywiadu udzielono:

a) kilku więźniom opuszczającym więzienie zapomóg w formie ubrania i obuwia,

b) udzielono tymże więźniom jednorazowych zapomóg pieniężnych na łączną sumę 43 zł.

c) żonie więźnia udzielono zapomogi jednorazowej i stałej przez okres trzech miesięcy na sumę zł. 13 gr. 50,

d) wdowie po więźniu wypłaca się stałą zapomogę miesięczną w wysokości 3 zł.

e) zasiłkiem 22 zł. 50 gr. zebranych z inicjatywy Patronatu wśród społeczeństwa (przeważnie urzędników), dopomóżono Zarządowi Więzienia w zorganizowaniu gwiazdki dla więźniów,

f) na „święcone“ dla więźniów zebrano 50 zł. 90 gr., 8 kgr. mąki pszennej i 1 paczkę kawy.

g) więźniom udającym się do domu koleją, w wypadku ich niezamożności, udziela się zaświadczeń do uzyskania zniżki na przejazd (instr. H. - 1 - a poz. 34 p. 1 b).

Referat Opieki Nad Więźniami zdaje sobie sprawę, że istnieje również szereg dobrych i ważnych możliwości tej opieki, jak pogadanki wychowawcze, prowadzenie świetlicy, prowadzenie kursów cświatowych i t. p. , tem niemniej jednak po dokonaniu przeglądu swych środków i sił stwierdza, że prac w tak szeroko rozbudowanej akcji, jaka jest prowadzona wśród więźniów n.p. na terenie miasta Wilna — wobec braku środków materialnych na utrzymanie płatnego pracownika i braku czasu, względnie przygotowania odpowiedniego u członkiń w Oszmianie, carazie prowadzić nie może.

W każdym jednak wypadku, zamiast tej krzywdzącej wzmianki spodziewałyśmy się raczej życzliwego zrozumienia i właściwej oceny

naszych naprawde szczerých wysilków, które świadczą o najlepszej woli.

Zarząd Zrzeszenia Powiatowego Z. P. O. K.
w Oszmianie

Giełda zbożowo-towarowa w Oszmianie.
Ceny orientacyjne

z dnia	7.XI.1935	14.XI.1935	21.XI.1935 r.	
Żyto	2,05	2,10	2,10	zł. za 1 pud
Owies	2,20	2,20	2,10	" " "
Jęczmień	2,10	2,10	2,00	" " "
Pszemica	2,10	2,20	2 30	" " "
Kartofle	0,45	0,50	0,50	" " "
Kapusta	0,60	0,70	0,80	" " "
Len	20-24	18-22	18-20	" " "
Nabiał:				
Masło	0,70	0,85	0,90	zł. za 1 funt (0,4 kg.)
Ser	0,20	0,25	0,30	" " " "
Jaja	0,65	0,75	0,80	" " 10 szt.
Mleko	0,10	0,12,5	0,12,5	" " 1 litr



041265

Redaktor. T. MARTUSEWICZ kl. VIII.

Vice - redaktorka - J. WIENCIAŁOJCIÓWNA kl. VIII.

Komitet: DULKÓWNA G. kl. III.

KUNCEWICZÓWNA E. kl. III. KOROZÓWNA A. kl. III.

PORTYCHÓWNA B. kl. VI. WĄNKOWICZÓWNA H. kl. VI.

ZAWADZKA L. kl. VI. ŁASTÓWKO A. kl. VI.

CHMIELEWSKA J. kl. VII. SZYNKIEWICZÓWNA H. kl. VII

KASPEROWICZ J. kl. VII. MIASTOWSKI L. kl. VII.

DOBRYŃSKA N. kl. VIII. FIDLERÓWNA G. kl. VIII.

MIESZKUCIÓWNA kl. VIII. HOLAK M. kl. VIII.

Redakcja zastrzega sobie prawo dokonywania zmian i przeróbek w rękopisach.

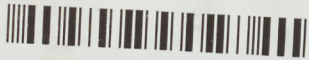
Anonimów nie bierze się pod uwagę.

Autorzy kryptonimów muszą Redakcji podawać istotne swoje nazwiska, by uniknąć nieporozumienia.

Cena ogłoszeń zależna od umowy

DRUKARNIA
Sz. LEWINA
w Oszmianie

LIETUVOS MOKSLŲ AKADEMIJOS
BIBLIOTEKA



002 00124677 7

P.041265